

Katarzyna Bonda

*Suknia ślubna*

*Większość rzeczy nie zdarza się, lecz ta się zdarzy.*

Philip Larkin

Dzwonek domofonu rozległ się cztery razy, zanim usłyszała zdyszany damski głos.

– Kto tam?

Milczała. Skóra pod kolanami znów zaczęła ją piec. Powstrzymała się jednak przed podrapaniem. Myślała, że ten głos jest miękki, aksamitny, choć zbyt piskliwy jak na jej gust.

– Halo! – Głos nadal był tylko lekko zniecierpliwiony.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Bez wahania wcisnęła numer jeszcze raz. Tym razem osoba odebrała zaraz po pierwszym dzwonku. Była już wyraźnie zła.

– Żarty sobie stroisz?

Ewa uśmiechnęła się z wyższością. Nie od razu odpowiedziała. Chwilę wsłuchiwała się w oddech kobiety po drugiej stronie słuchawki i czuła, jak swędzenie pod lewym kolaniem wyraźnie się wzmaga.

– To pani auto? Czerwona micra na Czereśniowej? – odezwała się uprzejmie. Wiedziała, że jej głos wzbudzi w pisklaku respekt. Dodała już łagodniej: – Zastawiła mnie pani.

Głos zmiękł, spokorniał.

– Mąż zaraz zejdzie. Proszę poczekać. Adam!

Ewa odwróciła się tyłem do domofonu i zapaliła papierosa. Nie zdąży spalić całego, ale przynajmniej zajmie czymś ręce. Wpatrywała się w ciąg aut zaparkowanych na chodniku pod blokiem. Granatowe, czarne i zielone zlewały się w szarości zmierzchu. Czerwona micra stała pod jedyną czynną w okolicy latarnią. Była zaparkowana prawidłowo.

– Proszę pani! – usłyszała i aż podskoczyła z przestraszenia. Od ruchowo odwróciła się w tamtym kierunku. Nikogo nie dostrzegła. Ale z płyty domofonu dobiegał znów głos kobiety. Wznosił się na wysokie tony ze wschodnim zaśpiewem. Była w nim podejrzliwość sprytnego dziecka.

– Skąd pani zna numer naszego mieszkania?

Ewa nie była łaskawa odpowiedzieć. W bramie stanął już mężczyzna, potrząsał kluczykami do auta. Rozciągnęła usta w uśmiechu na jego widok.

Kiedyś, jak była mała, wzięła najlepszy obrus mamy – wykrochmalony i uprasowany, używali go tylko na Wigilię. Nasypała do środka skórek od chleba, pokruszyła ciastek, dorzuciła dżemu i miodu, bo zauważyła, że lubią słodczyce, i postanowiła założyć hodowlę faraonek. Obserwowała je: jak się mnożą, pracują, budują gniazdo. Opiekowała się nimi. Jej mama odkryła to i bardzo się zdenerwowała. Wszystkie jej podopieczne wylądowały w koszu.

Na żywopłocie wokół szkoły pasły się biedronki. Złowiła je do słoika. Słoik zakręciła, żeby nie uciekły. Wszystkie się udusiły.

Ślimak uciekł. Ktoś go rozdeptał.

Kilkanaście gupików mieszkało w sporym, okrągłym słoju. Chciała go wyczyścić, niedokładnie wyplukała – zatruiły się resztką płynu do naczyń.

Żółwia przywieźli z Jugosławii. Potrafił być kilkanaście dni sam w domu. Rodzice kupili nową wykładzinę i razem z małą Ewą wyjechali, żeby klej wysechł – tylko na dwa dni. Żółw wszedł pod wykładzinę i zatruił się, *zwierzaczek*.

Miała pieska, nawet dwa. Pierwszego przywiózł do schroniska leśnik. „On długo nie pożyje – powiedział, wskazując na małego jamnika. – To jest zwierzę do uśpienia”. Wzięli go do domu, dała mu na imię Gucio. Miał wadę serca, szybko umarł. Drugiego psa już kupili, też jamnika. Kali się nazywał. Cierpliwym i oddanym. Mogła go „męczyć”, nigdy nawet nie warknął. Traktowała ją jak swojego szczeniaka – bronił przed obcymi, nikt nie mógł do niej podejść, tak ją kochał. Ten żył dłużej, ale kręgosłup miał słaby – po kilku latach dysk mu wypadł i na spacerach trzeba było go wynosić, męczył się. Rodzice tego nie wytrzymali. Pies usnął jej na rękach.

Na studiach, w ramach terapii, hodowała pająka. To był jeden z tych dużych, tupiących. Miał wielki brzuch. Lubiła go. Łapała srebrzyki z wanny, żeby miał co jeść. Po kilku tygodniach zdechł. Nie miał imienia. Zdzichu na niego mówiła.

Leżeli na kozetce w pogotowiu, kiedy mu to wszystko opowiadała. Pomiędzy drugą a trzecią nad ranem czasami nic się nie działo. Spytał ją o wspomnienia z dzieciństwa. Opowiedziała mu te, które przyszyły jej do głowy jako pierwsze. Nie planowała go straszyć. Ale zmarkotniał, spiął się. Czuła, jak ciało mu tężeje. Jeszcze ją obejmował, czuła jego bliskość, ale już tylko fizycznie. Nie odważyła się zapytać, dokąd uciekł od niej myślami.

– Ludzie uważają, że śmierć jest czymś złym, ale myślę, że to wynika z egoizmu – kontynuowała i złapała się na tym, że nie mówiła o tych sprawach z nikim. Ale Adamowi chciała powiedzieć. Chciała powiedzieć mu o wszystkim. Był jej, tak bardzo jej.

Nagle wstał. Rozprostował spodnie i zaczął się ubierać. Jeszcze coś mówiła, ale on już pochylał się, szukając skarpetki. Z kieszeni wypadł mu stetoskop. Widziała jego wygięte w łuk barczyste plecy, zaczątki tłuszczu na brzuchu, które, o dziwo, wcale jej nie przeszkadzały. Podniósł głowę i spojrzał na nią dziwnie, z obawą.

– Przestań. – Poprawił zmierzwione włosy. Uważała, że powinien je krócej ściąć, zakola nie dodawały mu uroku. Wstała i choć był już prawie całkiem ubrany, a ona całkiem naga, objęła go i pocałowała najczulej, jak potrafiła. Chwycił ją w pasie, tak jak lubiła, przysunął do siebie jednym zdecydowanym ruchem.

– Jesteś taka piękna. Taka młoda. Nie myśl o tym wszystkim – szeptał, całując ją, próbując zmienić temat rozmowy. Nie dawała się. Nie była pisklakiem, który gotuje, sprząta i nosi ondulowaną kulę zamiast włosów. Była najmądrzejszą kobietą, jaką znał. Tak w każdym razie mówił.

– Jeżeli odchodzi ktoś, kogo kochamy i kto nas kochał, to osoba, która zostaje przy życiu, myśli o sobie. *Straciłam miłość, bliskość, ciepło, bezpieczeństwo. Straciłam obiekt, który mogłam kochać.* Jestem zdania, że to czysty egoizm – dokończyła i rozpięła mu spodnie. Nie opierał się, ale z ulgą odsunął się, kiedy dyspozytorka wezwała ich przez radiotelefon. Zawał na Ordynackiej. Nie mieli już ani chwili. Od ponad roku wszędzie jeździli razem.

Ewa wciągnęła majtki, džinsy, zaczęła zapinać guziki bluzki.

– Rozmawiałeś z nią?

Odwrocił głowę.

– Znow miała grypę? – uśmiechnęła się z politowaniem. – Czy może twoja matka zrobiła jej przykrość?

Wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po porcelanowej twarzy, ale się odsunęła. Chwyciła fartuch. Narzuciła go na plecy. Długie ciemnoblonde włosy ściągnęła w ciasny kucyk.

– Kiedy?

– Porozmawiam z nią – zapewnił niezbyt przekonująco.

Winda podjechała. Skinęła głową pielęgniarzom, którzy mieli jechać z nimi karetką.

Basen był opustoszały, lecz nie pusty. Zdziwiło to Ewę. Liczyła, że o tej porze nie będzie już nikogo. Na torze zewnętrznym jakaś starsza pani dryfowała ze styropianową deską. Miała świetną

figurę, fioletowe okulary do pływania i ruchy anemika. Poza nią otyła dziewczyna w nieokreślonym wieku w neonowym kostiumie z napisem „Rape me” poddawała swe obłe kształty masażom z bąbelków. Ewa wskoczyła do chłodnej wody i bez zatrzymywania przepłynęła kilka długości w tę i z powrotem.

Kiedy się wynurzyła, zobaczyła u krawędzi basenu gumowe klapki. Znała je – różowe palmy bahama i zbyt duże wycięcie na palce. Nienawidziła ich kiedyś. Z gracją wyskoczyła na brzeg.

– Skąd ty je bierzesz? – zaśmiała się.

Ratownik się spieszył. Cofnął stopy.

– Zaraz zamykamy. – Podał jej ręcznik.

Skinęła głowę i zdjęła czepek. Włosy rozsypały się na plecach, tworząc pelerynę.

– Nadal ich nie ścinam, choć już dawno nie jestem w tobie zakochana – oznajmiła bez uśmiechu. – Jak sprawy?

– Nie mogę ci jeszcze oddać – przeszedł od razu do rzeczy. – Sąd przyznał jej wyższe alimenty. Musiałem znów się zapożyczyć. Załatwiła mnie na cacy.

– Wiem. – Skinęła głową. – Ale jeśli coś dla mnie zrobisz, anuluję ci dług. Może i dopłacę.

Wpatrywał się w nią zaniepokojony.

– Nie bój się. Nic, czego byś nie potrafił. Chodzi o mały liścik. Potem się zobaczy. Przecież nie namawiam cię do mokrej roboty. – Wybuchnęła śmiechem w momencie, gdy dziewczyna z jacuzzi z wielkim pluskiem wskoczyła do basenu.

Trzeci dyżur z rzędu spędzała sama. Syn Adama dostał świnki. Nie widzieli się od tygodnia. Najpierw się martwiła, bo pierwszą noc, od porodu po zejście narkotykowe, jeździła z zasadniczą Ireną, zwaną Milaczkiem. A Irena nigdy za nią nie przepadała. Podobnie jak za pracą w pogotowiu.

– Podchodzisz zbyt emocjonalnie. To nieprofesjonalne, Ewka – rzuciła jej, kiedy dotarły na miejsce wypadku.

Ewa nie mogła oderwać wzroku od martwego ciała młodego motocyklisty, którego uratować nie zdołały. Zmarł Irenie na rękach, mimo podanego tlenu i szybkiej akcji reanimacyjnej. Chwilę potem zamknęli go w czarny worek. Suwak się zacinał. Ewa wiedziała, że jego zmasakrowana twarz zostanie z nią na zawsze. Wtedy wybrała numer do ratownika i próbowała odwołać akcję z listem.

– Za późno, sprawę załatwiłem – rozłączył się.

Choć dyżur skończyła przed szóstą, nie mogła zmrzyć oka przez cały dzień. Tabletki nie zadziałały, pod kolanami miała krwawe rany. Nocami musiała się drapać. Teraz, kiedy tylko przyomykała oczy, śnił się jej ten czarny worek i jego wadliwy zamek. Nie była w stanie go dopiąć, a motocyklista się uśmiechał. Doszła jedynie do tego, że nie ma ani chwili do stracenia. Miała już trzydzieści trzy lata, własne mieszkanie, pracę, dwie specjalizacje i żadnego życia poza tym. Rodziców odwiedzała coraz rzadziej. Matka w kółko pytała, czy ma jakąś sympatię. Co miała jej powiedzieć? Wstała i zadzwoniła do domu. Odebrał ojciec. Zerknęła na zegarek, powinien być w pracy. Wykładał popołudniami na politechnice.

– Cześć, tatusiu.

– Cześć, księżniczko! – huknął do niej basem i słyszała, jak woła mamę z głębi mieszkania. Chwila ciszy. Bez słowa oddał jej słuchawkę. Tak to zawsze wyglądało.

– Stało się coś? – Mama była zaniepokojona. – Nie jesteś w pracy?

– Chcę ci coś powiedzieć – zaczęła, a może tylko pomyślała, bo mama zaraz zaczęła o jedzeniu, kuzynce, która znów była w ciąży i do niczego nie dojdzie, bo ma dopiero dwadzieścia trzy lata i trzecie dziecko w drodze oraz żyją w wynajętym mieszkaniu po babci. Wysłuchiwała tego wszystkiego i obiecała, że przyjedzie na niedzielny obiad. Matka bardzo się ucieszyła. Planowała zrobić gołąbki. Z sosem pomidorowym, z prawdziwych działkowych pomidorów.

– Takie, jak lubisz – dodała uradowana.

– Nie przyjadę sama – odparła Ewa. – Teraz nic nie powiem, niespodzianka. To będzie pewien mężczyzna.

W słuchawce rozległ się gwałtowny okrzyk radości. Mama dostała słowotoku. Teraz było coś o obrusie, bluzce z kołnierzykiem i tacinej koszuli. A potem zamilkła.

– Wyszędł już? – odgadła jej myśli córka.

– Ma spotkanie – matka odparła sucho. – Służbowe. Podobno służbowe.

– O tej godzinie? – dociekała Ewa. I zaatakowała: – Miała przecież wyjechać.

– Tak – przytaknęła matka. – Miała. Siedemnaście lat temu.

Milczały ze zrozumieniem, aż w końcu Ewa odłożyła słuchawkę.

Tego dnia wzięła wolne i poszła nad rzekę. Nie miała sił spotkać się z Adamem. Chciała, by to on ją znalazł. By trochę pocierpiał. Snuła się tam kilka godzin, aż zapadł zmierzch. W krzakach leżały zużyte prezerwatywy i kilka puszek po tanim piwie. Kiedy było już ciemno, niemal biegiem dotarła na przystanek. Zmartwiła się, że może dzwonił, kiedy jej nie było. Zostawił wiadomość? Może się nagrał, choć nigdy tego nie robił. Uświadomiła sobie, że nigdy nie był u niej w domu, nie spędzili nawet całej nocy razem. Zrobiło się jej smutno. Ale była tak zmęczona, że momentalnie zasnęła. Nawet skóra pod kolanami nie swędziała. W każdym razie niczego nie pamiętała.

List był krótki. Zawierał może trzy zdania. Wyklejka z gazety, kartka w kratkę wydarta z zeszytu. Informował Adama, że jego żona ma romans. Nie znała dokładnie jego treści. Ratownik sam miał ją wymyślić i jak się spodziewała, była to bardzo uproszczona informacja. Ale dzięki temu Adam zadzwonił. Tylko dlatego odważył się złamać zasady, które sam ustalił: żadnych kontaktów poza pracą, bez zobowiązań. Ona się na nie zgodziła i ich przestrzegala. Ale to nie były jej zasady. Były jego i właśnie je złamał. Była z siebie dumna. Naprawdę cieszyła się, że go słyszy.

– Czy wiesz... – wychrypiął. Czowała, że jest zdruzgotany. Z trudem składał zdania. – Nie wiem, jak ona mogła. Kiedy?

– Podejrzewasz kogoś? – spytała.

– Podpisał się „życzliwy”. Pewnie jakiś sąsiad. Może ktoś ze znajomych. Zrobiłem jej awanturę. Kłamliwa suka.

– Przestań. Ludzie są podli – powiedziała ciepło. – Za bardzo się przejmujesz, kochanie.

– Nie o to chodzi – przerwał jej. – Ludzie o tym wiedzą. Tylko ja jestem... jeleniem.

– A ona? Co ona na to?

– Wyparła się.

– Chcesz przyjechać? – zapytała. I powstrzymując drżenie w głosie: – Pogadać?

– Teraz nie mogę. Muszę zostać z małym. Ada pojechała do matki. Śmiertelnie obrażona, jak się domyślasz.

– Jakbyś chciał pogadać...

– Wiem. Dobrze, że jesteś.

– Jestem.

Odłożył słuchawkę.

Kiedy jednak następnego dnia znów nie pojawił się w pracy, poszła do kadr i zapytała, ile wzięł zwolnienia. Nie mogła zadzwonić, więc milczała. On też się nie odzywał. Jedynie raz poprosił, czy – jeśli jest na dyżurze – nie podwozłaby mu kilku koszul z pracy. Odkąd Ada się wyprowadziła, nie miał w czym chodzić. Zazartował też, żeby przyjechała i zrobiła mu pranie. Odmówiła, tłumacząc, że nie jest praczką, tylko lekarką. Jeśli szuka gospodyni, niech taką zatrudni.

– Szkoda – mruknął. – Lekarza mam już w domu, jeden wystarczy. Ledwie z nim wytrzymuję – zaśmiał się, choć ona pozostała poważna. – Przydałaby się damska ręka, inaczej będę musiał iść do Ady w łaskę – mruknął. Chciała zapewnić, że przecież jest jeszcze ona, też jest kobietą, ale zamilkła w porę.

Tęskniła tak bardzo, że zaczęła wachać jego fartuch, a raz użyła jego pieczętki jak własnej. Dobrze, że miała pracę. Kiedyś zarzekała się, że nigdy nie poświęciłaby jej dla związku. Nie chciała małżeństwa, dzieci. Tego wszystkiego, co wiązało się z bliskością, uzależnieniem. Zresztą choć skończyła kolejną specjalizację, chirurgię, i czekał na nią etat w największym miejskim szpitalu, wciąż starała się nie wypaść z pogotowia. Lubiała tę adrenalinę. Umiała szybko podejmować decyzje, była mistrzynią diagnozy. Prawie nigdy nie myliła się w dawkach leków, co zdarzało się nawet ordynatorowi. Pielęgniarki też ją lubiły. Nie stwarzała problemów, nie piła, nie wzywała ich bez powodu. Dlatego kiedy w czwartek ostatecznie podjęła decyzję, poprosiła je o pomoc w zorganizowaniu czarnego worka na zwłoki. Bez zbędnych pytań skierowały ją do pielęgniarskiej, z którą wszystko dało się załatwić. Przekazał go jej między jednym wyjazdem do pacjenta a drugim.

– Na co on pani? – zagaił ją, błyskając zębami. Zauważyła, że brakuje mu piątki z lewej strony. – Koleżanka potrzebuje na suknię ślubną – odparła i ruszyła jak fryga do pracy.

Nad ranem dowiedziała się, że Adam już nie wróci. Złożył wypowiedzenie. Przenosi się do innego szpitala. Postanowił zadbać o rodzinę – tak w każdym razie plotkowały pielęgniarki. Ponoć przez pracę. Był prawie co drugi dzień na dyżurze i jego żona sobie kogoś przygruchała. Ale jej wybaczył. Postanowił znów zawalczyć, rozkochać. Ktoś widział ich na lodach z synkiem. Śliczniutka ta Ada, z nową ondulacją, tylko powinna przytyć. Taka chudzina, wiatr by ją przewrócił.

– Durna ja. Całe życie myślałam, że skok w bok rozbija związek – skwitowała Irena i zwróciła się do Ewy: – Ucz się, dziecko. Puściła się, a on jeszcze bardziej ją kocha.

Ratownik obiecał oddać pełną kwotę z odsetkami, całe osiem tysięcy, do przyszłej środy. Wiedziała, że ich nie ma. Po prostu bał się, że nie da rady. Nie tego, że go złapią. Jeszcze nie teraz. Był

tchórzem, dlatego się rozstali. Kiedy jednak obiecała, że z nim pojedzie, zgodził się. Od kolegi pożyczył terenowe auto. Ona wzięła worek. Był idealny. Zamek się nie zacinał. Mieli też pasek; brązowy, z prawdziwej wężowej skóry.

– Potem się go wyrzuci – wyjaśnił. I dodał, że nie wie, kto zostawił go kiedyś na basenie. W każdym razie nie będzie go szkoda.

Zatankowała do pełna. Kupiła mu zgrzewkę piwa, a sobie dwie paczki papierosów. Pojechali razem w piątek.

Matka Ewy zaczęła gotować kapustę na gołąbki. Zmusiła męża, by został na weekend, bo córka przyjedzie z narzeczoną. Zgodził się. Coś tam powiedział kochance. Matka była zbyt szczęśliwa, by kruszyć o to kopie. Wiedziała, że przed Ewką, swoją małą księżniczką, zawsze będzie grał świętego tatusia.

Ada odebrała domofon po pierwszym dzwonku. Rozpoznała ją, choć przecież nigdy się nie widziały.

– Znów nie może pani wyjechać? – zaśmiała się nieprzyjemnie. – To dziwne, że zawsze panią zastawia.

I zaraz dodała, że męża nie ma. Pojechał samochodem do miasta. Musiało jej się coś pomylić. Była teraz zimna jak stal.

Ewa sięgnęła do kieszeni. Pasek był tam, zwinięty w kłębek. Kiedy się odezwała, brzmiała spokojnie.

– Wiem, że go nie ma. Musimy pomówić.

– Teraz? – zapytała z grzeczności Ada.

– To zajmie tylko chwilę. To ważne.

– Gotuję zupę, może za dziesięć minut?

Ewa miała już dosyć tej gry. Wyjęła zapalniczkę i włożyła do ust papierosa. Nie chciała zajmować rąk, musiała się skupić. Skóra pod kolanami zagoiła się zupełnie, nic jej nie swędziało. Czowała, jak pulsują jej skronie. Znów zastrzyk adrenaliny, jak w pracy, na zdarzeniu, kiedy musiała kolejny raz ratować komuś życie. Szybkie decyzje, policzalny świat. Liczyła się tylko chemia

i matematyka. Emocje wyłączone. Nie przeszkadzały. Tylko wtedy nie swędziało. I tak było właśnie teraz.

– Mamy romans – mruknęła. – Od ponad roku. Chyba nie sądzisz, że przesiadywał tyle czasu w pracy.

Ada krzyknęła do matki, że za chwilę wraca. Narzuciła na plecy zieloną parkę męża.

Ciało Ady ukryli w krzakach. Ewa sprawnie rozplątała pasek z szyi martwej kobiety. Ondulacja wciąż była idealna. Potem kazała wjechać ratownikowi dokładnie w miejsce schadzek, które było osłonięte ze wszystkich stron chaszczami. Dziś nie było tam żadnej prezerwatywy, bezdomni musieli też wybierać puszki. Z tego miejsca widok na rzekę był doskonały. Przykryli trupa gałęziami. Ada spała tam prawie rok. W tym czasie była poszukiwana, a Adam formalnie wciąż żonaty. Rodzice Ewy nigdy nie ugościli go na obiedzie.

Gotowała sos pomidorowy do gołąbków, kiedy usłyszała szmer. Obejrzała się zaniepokojona. Synek Adama podszedł do niej i pokazał rysunek. Był na nim mężczyzna, dwie kobiety (ciemna i blondynka) oraz dziecko. Wszyscy trzymali się za ręce. Uśmiechnęła się, poprawiła fartuch. Wytarła ręce w ścierkę.

– To ja? – Wskazała napis „mama”. Chłopiec pokręcił głową. Wskazał drugą kobietę. Napisał koślawymi literami: „jego koleżanka”.

– To ty. Ale zanim wróci mama, możesz tutaj mieszkać – odparł rezolutnie.

Zamrugła powiekami i pochyliła się, by go ucałować. Wybiegł z kuchni, zanim dotknęła ustami jego czoła. Może dlatego sięgnęła po telefon. Minęło jedenaście miesięcy, a ciała Ady nadal szukano bez skutku. Wiedziała, że nie będą mogli stwierdzić przyczyny zgonu. Nawet w tak doskonałym worku musiało rozłożyć się dokumentnie. Sądziła, że nic jej nie mogą udowodnić. Nie było czasu do stracenia. Kończyła wkrótce 34 lata i wciąż była panną.

– Jest sprawa – zadzwoniła do dyżurki miejskiego basenu. – Potrzebuję małej wypowiedzi. Dalej sobie poradzą.

– Nie – odparł. – Jesteśmy kwita.

– Wisisz mi jeszcze odsetki – powiedziała bardzo spokojnie. – Nie rozumiesz. Chcę zjeść gołąbki z rodziną.

Jeden z jamników Ewy – Kali – zeskaکیwał z czegoś, dysk mu wypadł i był sparaliżowany. Próbowali go leczyć różnymi sposobami, między innymi nagrzewać lampą w podczerwienu, na zmianę z zimnymi kompresami. Była wtedy w szkole średniej. Tak bardzo chciała mu pomóc, że zamiast naświetlać go z półmetrowej odległości, przystawiła lampę w odległości dziesięciu centymetrów i go popaliła. Spaliła mu całą skórę, odchodziła płatami, aż na wierzchu zaczęły sterczeć kości kręgosłupa. Myślała, że robi dobrze – przecież nie wrywał się, nie piszczał, nie skomlał. Weterynarz powiedział, że kiedy umierał, nic nie czuł. W niej wina została do dziś.

– To była najgorsza rzecz, jaką w życiu uczyniłam – powiedziała śledczym, kiedy ją zatrzymywali.

Warszawa, 2013